

JOSÉ MARÍA SÁNCHEZ-SILVA

**MARCELINO  
CHLEB I WINO**

oraz

**WIELKA PODRÓŻ  
MARCELINA**

TYTUŁ ORYGINAŁU  
*Marcelino Pan y Vino*

PRZEKŁAD Z JĘZYKA HISZPAŃSKIEGO NA JĘZYK POLSKI  
© *Alingua Sp. z o.o.*

KOREKTA  
*Magdalena Jankosz*  
*Agata Pindel-Witek*

SKŁAD  
*Anna Kendziak*

PROJEKT OKŁADKI  
*Izabela Puk*

ILUSTRACJE  
*Rafał Czwichocki – inspirowane ilustracjami Carmen Segovia*

ILUSTRACJE NA OKŁADCE  
*Rafał Czwichocki*  
*Izabela Puk*

COPYRIGHT  
© *By the Heirs of José María Sánchez-Silva*  
© *Publication 2017, Dom Wydawniczy Rafael H. Marchut, T. Balon-Mrocza sp.j, by arrangement with BookLab Ltd and Ute Körner Literary Agent, S.L.U. www.uklitag.com*

ISBN 978-83-7569-736-0

© 2017 Dom Wydawniczy „Rafael”  
ul. Rękawka 51  
30-535 Kraków  
tel./fax 12 411 14 52  
e-mail: [rafael@rafael.pl](mailto:rafael@rafael.pl)  
[www.rafael.pl](http://www.rafael.pl)

**CZEŚĆ I**

# MARCELINO CHLEB I WINO



# ROZDZIAŁ I

Prawie sto lat temu trzej franciszkanie poprosili burmistrza małego miasteczka, by pozwolił im zamieszkać w położonych około dwóch mil od miasta, opuszczonych ruinach dawnego gospodarstwa. Burmistrz, pobożny człowiek, zgodził się bez wahania, nie omawiając tej decyzji z radnymi miasteczka. Bracia pożegnali się, błogosławiąc swego dobroczyńcę, po czym udali się na nowe miejsce, gdzie natychmiast zaczęli przygotowywać schronienie na noc. Dawnymi czasy znajdowało się tutaj gospodarstwo. Około tysiąc osiemsetnego roku, zgromadzili się w nim ludzie, aby stawić opór wojskom francuskim atakującym Hiszpanię, próbując w ten sposób uniknąć zniszczenia swojego miasteczka. Wśród zakonników był młody brat, bardzo zdolny i pomysłowy, który natychmiast zdecydował, od czego należy zacząć. Wokół porozrzucane były duże kamienie, które swego czasu posłużyły do budowy prymitywnej konstrukcji. W okolicy znajdowały się również drzewa, z których można było pozyskać drewno, a niedaleko przepływał potok, dzięki któremu biedni bracia mieli nie umrzeć z pragnienia.



Wyruszyli w drogę przed świtem, a dzień powoli chylił się ku zmierzchowi – jeden z zakonników, będący już w podeszłym wieku, podążał bardzo niepewnym krokiem. Dlatego też dobry braciszek postanowił zacząć od początku, przygotowując dla nich schronienie. Wbił w ziemię kilka kijków, rozwiesił na nich przyniesiony przez braci stary koc, między skałami zagospodarował niewielkie zadaszone miejsce, a następnie, rozpaliwszy ogień, przygotował siedzisko dla wiekowego zakonnika. Jednego z braci wysłał po wodę do strumyka, a sam zabrał się do pieczenia na ogniu ziemniaków, które jako jałmużnę otrzymali od pewnej miłosiernej kobiety. Po odmówieniu modlitwy, zjedzeniu lichej kolacji i zapadnięciu nocy trzej zakonnicy ułożyli się do snu, zaś następnego ranka pełni dobrej woli rozpoczęli pracę.

Tak zaczęła się przebudowa tej oddalonej od miasteczka budowli, która pięćdziesiąt lat później wyglądała już zupełnie inaczej. Była prosta i surowa, ale wydawała się bezpieczna, czasem podczas burz zapewniała schronienie wędrowcom i pasterzom. Posiadała duży parter i niewielkie piętro powyżej. Z tyłu domu znalazł się ogród, ogrodzony kamiennym murkiem, dostarczający braciom pożywienia. Na parterze umieszczono małą kaplicę, cele zakonne braci, refektarz i kuchnię ze spiżarnią; powyżej kolejne cele oraz spory schowek, w którym przechowywano duże i rzadziej używane przedmioty, a po prawej stronie, u szczytu starych i zniszczonych schodów, niewielki strych, do którego światło z zewnątrz wpadało przez małe okienko.

W domu mieszkało dwunastu zakonników. Z tamtych trzech pierwszych braciszków dwóch zmarło, a jeden

– którego poznaliśmy jako energicznego młodzieńca – był już teraz stary i schorowany. Bracia mieli swój cmentarz w tylnej części ogrodu. Życie upływało im na modlitwie i pracy, a ich obecność w okolicy była bardzo przydatna, ponieważ czterech czy pięciu z nich było kapłanami, co oznaczało, że mogli odprawiać Mszę w niedziele i święta w pobliskich wsiach i miasteczkach, w których nie ma księdza, chrzcić dzieci, udzielać ślubów i odprawiać pogrzeby zmarłych oraz prowadzić procesje we wskazane dni, udzielać wszystkim rady, spowiedzi i pocieszenia. Zakonnicy żyli z jałmużny.

Któregoś roku zmarł dotychczasowy burmistrz, a nowy udał się pewnego dnia na osiołku do tego małego klasztoru, pytając braci, jakim prawem zamieszkali na tym terenie. Gdy zobaczył jednak, że zareagowali z życzliwością i wielką pokorą, mówiąc, że jeśli to konieczne, natychmiast opuszczą zbudowany przez siebie na gruzach dom, a niektórzy bez zbędnej zwłoki zaczęli się od razu przygotowywać do drogi, burmistrz zawrócił, mówiąc zakonnikom, że jeszcze przez pewien czas mogą w tym miejscu pozostać.

Wiele lat później, kiedy również ten burmistrz zmarł, nowy, który był wnukiem pierwszego, potwierdził decyzję swojego dziadka i sprawił, że radni miasteczka zatwierdzili tymczasowe przekazanie i dobroczynnie oddali to miejsce franciszkanom. Co dziesięć lat gmina była zobowiązana do odnawiania zezwolenia, a korzyści dla pobliskich wsi i miasteczek okazały się tak duże, że w końcu rada miasta zakomunikowała ojcu przełożonemu, że teren i zabudowania zostają na zawsze oddane zakonnikom. Ojciec przełożony odpowiedział z uśmiechem, acz zdecydowanie, że byłby to najlepszy sposób, aby sprawić,



by opuścili ten dom, ponieważ bracia franciszkanie nie mogą posiadać nic na własność i żyją jedynie z jałmużny.

Dzięki pracy i miłości, z jaką zakonnicy wykonywali wszystkie obowiązki, z czasem ich mały klasztor stał się budowlą nie tylko solidną, ale też piękną. Dzięki pobliskiemu strumieniowi drzewa, rośliny i kwiaty zakwitły. Braciszkanie sprawili, że ogródek był dobrze utrzymany, a wszystko wokół uporządkowane.

Pewnego ranka, kiedy nawet koguty jeszcze spały, brat furtian usłyszał przy ledwie uchylonych drzwiach odgłos podobny do płaczu. Przysłuchiwał się przez chwilę, aż wreszcie wyszedł sprawdzić, coż to był za dźwięk. Daleko na wschodzie nadchodził świt, ale noc jeszcze spowijała świat. Brat przeszedł kilka kroków, kierując się w stronę dźwięku, gdy nagle zobaczył poruszające się zawiniątko. Podszedł bliżej. Z zawiniątka dobiegało kwilenie, które okazało się być płaczem noworodka, porzuconego pod bramą klasztoru kilka godzin wcześniej. Dobry mnich zabrał dzieciątko i zaniósł je do klasztoru. Nie chcąc obudzić śpiących braci, tak bardzo potrzebujących snu, zmęczonych pracą i wędrówkami, zajął się maluchem sam, tak jak potrafił. Zmoczył kawałek białej tkaniny w wodzie i dał dziecku do ssania, a ono uspokoiło się i ucichło.

W oddali zapiał pierwszy kogut, a mnich z dzieciątkiem w ramionach usłyszał, jak na dworze kot przemyka po cichu, jak zwykł czynić o tej porze, rozpoczynając polowanie na zaspane szkodniki. Nadchodziła pora, by zabić w dzwony i powiadomić braci o znalezisku. Chłopczyk zamknął oczy i wtulony w ciepły habit dobrego mnicha zasnął. Na szczęście nadeszła już wiosna i minęły zimowe chłody, w przeciwnym



razie maleństwu groziłoby zamarznięcie. Zaraz po biciu dzwonu w różnych częściach klasztoru dało się słyszeć poruszenie. Kiedy zakonnik pokazał dziecko ojcu przełożonemu, ten nie mógł ukryć zdziwienia, a wraz z nim pozostali bracia, którzy zbiegli się, słysząc okrzyki zdumienia. Brat furtian wyjaśniał raz po raz, jak znalazł noworodka, a mnisi uśmiechali się i kręcili głowami z czułością i współczuciem.

Niemniej jednak problem był poważny. Co mieli zrobić z dzieciątkiem biedni zakonnicy, niemogący zapewnić wychowania ani nawet opieki podrzutkowi? Ojciec przełożony zdecydował, żeby brat, który właśnie wyruszał w drogę do miasteczka, zabrał ze sobą dziecko i przekazał je władzom. Brat furtian i kilku innych młodszych zakonników nie było jednak zadowolonych z takiej stanowczej decyzji, aż w końcu brat Bernard jako pierwszy wskazał przeszkodę.

– Ojczy – powiedział do przełożonego. – Nie powinniśmy go najpierw ochrzcić?

Ta myśl powstrzymałaby każdego. Ojciec przełożony zgodził się i ustalił, że dziecko zostanie odniesione do miasta, kiedy przynajmniej będzie ochrzczone. Ruszyli w stronę małej kaplicy klasztornej, gdy brat Idzi zatrzymał pochód kolejnym pytaniem:

– A jakie imię mu nadamy?

Już kilku braci myślało o tym, by znalezione dzieciątko nazwać imieniem ich patrona, świętego Franciszka, kiedy brat furtian, być może zbyt szybko, powiedział nagle:

– Nie sądzisz, ojczy, że powinniśmy nadać mu imię świętego patrona dzisiejszego dnia?

Działo się to pod koniec kwietnia, a w tym dniu przypadało święto świętego Marcelina. To imię zostało więc

wybrane dla chłopca, a wkrótce nowy chrześcijanin Marcelino płakał skrapiany święconą wodą, chociaż wcześniej ucichł, próbując smaku soli. Bracia cieszyli się ze znaleziska, a ci, którzy wyruszali wcześniej rano, chodzili smutni, gdyż musieli pożegnać się z dzieciątkiem, które z woli Bożej pojawiło się przed ich drzwiami.

Dwaj zakonnicy pracowali w ogrodzie. Nagle jeden z nich zatrzymał się i powiedział:

– Ja mógłbym się nim zająć, gdyby mi pozwolono.

Drugi roześmiał się i zapytał, jak zamierza nakarmić dziecko.

– Kozim mlekiem – szybko odpowiedział pierwszy.

Rzeczywiście, kilka miesięcy wcześniej klasztor otrzymał w darze kozę, której mleko przeznaczano głównie dla starego i schorowanego zakonnika, założyciela klasztoru.

Natomiast ojciec przełożony, nie tracąc czasu, polecił każdemu z braci, by wszędzie, dokąd tylko się udają, rozpytywali, do kogo należy dziecko oraz co władze w danym miejscu mogłyby dla niego zrobić. Ojciec przełożony chciał oddać maleństwo, zapewniając mu jak najlepsze warunki, chociażby dalekim krewnym lub władzom, które mogłyby się nim zaopiekować.

Na tym i innych zadaniach minął zakonnikowi cały ranek. Zdecydował więc, by zatrzymać dziecko w klasztorze przynajmniej przez ten pierwszy dzień, postanowił jednak sprawdzić dobrą wolę swoich mnichów, mówiąc, by jeden z nich zaniósł je do miasteczka. Na to kilku braci zwróciło się do niego z szacunkiem, prosząc, by tego nie robił, przynajmniej do kolejnego ranka, ponieważ było już późno po południu i chłopiec mógłby zmarznąć po drodze.



Bardzo ucieszył ojca przełożonego ten słodki sprzeciw mnichów i zgodził się zatrzymać maleństwo w klasztorze aż do następnego dnia.

Na *Anioł Pański* powrócili bracia, którzy o świcie wyruszyli z klasztoru, i opowiadali ojcu przełożonemu, co im się przydarzyło. Wydawać by się mogło, że zakonnicy wcześniej uzgodnili, co powiedzieć, bo wszyscy potrząsali głowami z nieufnością, pytani o odpowiedź organów władz, które informowali o sprawie. Wszyscy zgodnie potwierdzali, że odwiedzane przez nich miasteczka są bardzo ubogie, że nikt nic nie wiedział o porzuceniu chłopca i że konieczne będzie zapewnienie pomocy finansowej rodzinie, która zajęłaby się dzieckiem, jeśli uda się taką znaleźć. Wszystko to było prawdą, gdyż okolica ta nie była bogata, a ostatnimi czasy cierpiała z powodu długiej suszy, która zrujnowała wiele rodzin.

Ojciec przełożony miał się zająć tą sprawą na wysokim szczeblu – porozmawiać z zaufanym burmistrzem lub też ze znanymi sobie dobroczynnymi rodzinami. Nakazał nawet braciom napisać do innych klasztorów, które znajdowały się w odległych dużych miastach.

Dobrzy mnisi zasnęli więc tej nocy bardzo zadowoleni, widząc, że chłopiec póki co zostanie z nimi. Marcelino został przekazany pod opiekę brata furtiana i kiedy nadszedł wieczór, wszyscy bracia, oprócz wskazanego opiekuna, udali się na spoczynek, jednak najpierw nakarmiono dziecko kozim mlekiem, rozcieńczonym lekko wodą, którego smak wydał się przypaść mu do gustu.

Wstał świt następnego dnia, a po nim wiele kolejnych świtów, ponieważ mimo formalnych wysiłków ojca



przełożonego, nie wiadomo jak, ale zawsze zdarzało się coś, co uniemożliwiałoby oddanie Marcelina. Czasami któryś z zakonników przynosił wieści, że wszystko wskazuje na to, iż jakaś rodzina zajmie się małym, innym razem ktoś z okolicy przybywał do klasztoru, aby przynieść coś do jedzenia i pomóc nakarmić dzieciątko.

W tamtych dniach zachorował i zmarł brat furtian, prosząc wcześniej swych braci, by zatrzymali chłopca na zawsze, wychowali go w świętej bojaźni Bożej i uczynili dobrym franciszkaninem.

W końcu, tak jak upływały dni, zaczęły również mijać tygodnie, wreszcie miesiące, a Marcelino, z każdym dniem coraz bardziej rezolutny, wesóły i zaokrąglony, przebywał w klasztorze karmiony kozim mlekiem i pysznymi kleikami, które wymyślał brat kucharz.

Po roku, przy okazji podróży, ojciec przełożony uzyskał upoważnienie od ojca prowincjała i Marcelino stał się oficjalnym członkiem wspólnoty, co oznaczało, że już nikt oprócz jego rodziców – gdyby kiedyś się pojawili – nie mógł odebrać go z klasztoru.

Chłopiec dorastał i był radością zakonników, ale niekiedy również utrapieniem, ponieważ, mimo iż był złotym dzieckiem, bywał czasem niegrzeczny. Jego kradzieże owoców w sadzie oraz wybryki w kaplicy i w kuchni, podobnie jak jego choroby, stanowiły dla biednych braci powód do zmartwień. Wszyscy jednak kochali go jak syna i brata, a malec również uwielbiał zakonników na swój sposób.